

Janusz Marciszewski („Janio”)

Odszedł tak jakoś nagle, jakoś po cichu. Nie chciało się wierzyć, bo przecież dopiero, co przychodził na nasze tradycyjne, wtorkowe spotkania do Klubu na Dmowskiego i na czwartkowe do „Monidla”. Ale jak gdyby nas już do tego przygotowywał. Już nie zamawiał „psa”, już nie opowiadał kawałów.

No i stało się..Posypały się wspomnienia. Chciałbym do nich dołączyć przywołując w pamięci epizody, może błahe, ale dla mnie w jakiś sposób znamienne.

Było to w Tunezji w roku 1996. Spędzaliśmy tam wakacje w grupie 7 poznańskich dziennikarzy. Pewnego razu we dwójkę z Anuszem wybraliśmy się pieszo z Soussy gdzie był nasz hotel, do El.-Kantoui. Zamierzaliśmy tam zwiedzić sławny port jachtowy. Do tej największej w Tunezji maryny szliśmy szosą, bo przejście plażą było mocno utrudnione ze względu na zalegające nieraz aż do wody głązy. Spacer był dosyć uciążliwy z powodu upału. Nie wiem jak to się stało, że zaraz po starcie Janusz zaczął opowiadać o swoich wojennych przeżyciach. Szliśmy kilka kilometrów, pod prażącym słońcem, ale nie odczuwałem znużenia, albowiem słuchałem opowieści o bardzo dramatycznych przeżyciach. Dotyczyły kilkakrotnych ucieczek z miejsc, na terenie Niemiec, gdzie został wywieziony na roboty przymusowe, poprzez Szwajcarię i Francję do polskiego wojska we Włoszech. Słuchałem tych opowieści tak jakbym oglądał sensacyjny film przygodowy. To była zima 1945 roku, droga wiodła przez góry, lasy i rzeki. Dwukrotne próby ucieczki zakończyły się niepowodzeniem i ponownym zamknięciem w więzieniu lub obozie pracy. Za trzecim razem ucieczka się udała i nasz Janusz znalazł się w 2. Korpusie wojsk generała Andersa, gdzie uzupełnił wykrwawiony 12 Pułk Ułanów: Podolskich

Te przeżycia pod koniec życia opisał. Wcześniej jednak niezbyt chętnie o nich opowiadał. Dla mnie to było odkrycie innego Janusza. Zapalonego, podnieconego, mówiącego z zapalem, jakby ponownie przeżywającego swoje wojenne przeżycia. A że opowiadać potrafił to wiemy wszyscy, którzy go znali. Wtedy jednak opowiadał inaczej niż zwykle. To były opowieści człowieka, który miał w sobie ładunek emocji, walki o przeżycie, upartego dążenia do wolności

W inny sposób odcisnął się w moim życiu Janusz w latach 60-tych, gdy znalazłem się w małej ekipie dziennikarzy towarzyszących oficjalnej wizycie państwowej, przewodniczącego Rady Państwa, marszałka Mariana Spychalskiego w Mongolii. To była moja pierwsza podróż takiej rangi, mocno denerwująca, albowiem znalazłem się w tym gronie, jako jedyny dziennikarz spoza Warszawy. Nigdy jeszcze nie towarzyszyłem wizycie na tak wysokim szczeblu. Nie wiedziałem jak się przygotować, co ze sobą zabrać. Pomógł Janusz. - Ty przede wszystkim zabierz maszynę do pisania. - Ale jaką, mam takiego grzmota, ważącego z pięć kilogramów. - Skąd, to musi być maszynka lekka i mała, taka walizkowa. Ja taką mam i ci pożyczę. W Ułan Bator okazało się, że jedynym sposobem dostarczania do kraju korespondencji było radio (zresztą wojskowe). A dla nas było tylko jedno łącze. No więc wieczorami ustawiało się do tego radia kolejka, było dużo nerwów, bo każdy chciał być pierwszy. Było jeszcze łącze teleksowe, ale tam trzeba było przedstawić tekst napisany na maszynie. Maszynistka dobrze wyszkolona z łatwością mogła przekazać tekst napisany po polsku, nie rozumiejąc ani słowa. I wtedy nagle ten pętań z Poznania stał się pierwszym wśród ważniaków z Trybuny Ludu, Życia Warszawy, Polskiej Agencji Prasowej i Polskiego Radia. To do mnie teraz zaczęli się łączyć ci ważniacy, którzy przedtem traktowali mnie bardzo z góry. No, bo któż to jest ten poznaniak, o którym nikt nic nie wiedział. Oczywiście używałem, ale i tak moje korespondencje były w Polsce pierwsze (oprócz radiowych). Tę wielką satysfakcję zawdzięczam Januszowi, który zawsze pomagał, gdy była okazja.

Na koniec nie mogę się powstrzymać od opowiedzenia anegdoty, do której Janusz niechętnie się przyznawał. Otóż w latach 40—tych krótko działała w Polsce organizacja pod skrótem YMCA. Była to amerykańska organizacja młodzieży chrześcijańskiej. Tworzyła kluby, z których jeden mieścił się w Poznaniu, w jednej z pięknych willi przy ul. Mickiewicza. Byłem wówczas uczniem liceum Marcinkowskiego, popularnego Marcinka, stamtąd do klubu YMCA było parę kroków, więc po lekcjach lubiliśmy tam zaglądać. Nasz podziw wzbudzał wysoki, postawny mężczyzna, chodzący w nimbie żołnierza 2.Korpusu, który po angielsku śpiewał amerykańskie przeboje, ogromnie u nas popularne.. Jak dziś widzę go jak stojąc śpiewa piosenkę mającą końcówkę „Hej barbariba”, co następnie słuchacze powtarzali chórem: hej barbariba.

Cóż, Janusz był dobry do wszystkiego: zabawy, wypitki, ale i do zupełnej poważnej roboty w gazetach i organizacjach. Ale o tym niech już piszą inni.